

Mistrz

AUTOR: MAREK GAJ

Był otwarty na propozycje i jego ego przy tym nie cierpiało; jedne akceptował i po swojemu przerabiał, inne odrzucał, i co ważne – robił to natychmiast.

■ W oknie na trzecim piętrze budynku ukazała się twarz: „To ja zabiłem!!!”. Krzyk zlał się z hejnałem z wieży mariackiej. Twarz w oknie znikła. „Krzyknij jeszcze raz” – powiedział Wajda do aktora Marka Kality. „To ja zabiłem!!!”. Na ulicy znowu nikt nie zwrócił na to uwagi. Była wiosna 1984 roku. Andrzej Wajda przyjechał do Krakowa zrealizować *Zbrodnię i karę*.

Ponad miesiąc wcześniej dwaj aktorzy szukali reżysera. Przypadkowo padło na mnie. Spotkaliśmy się w trójkę: Marek Kalita, Edek Żentara i ja. Tak się zaczęło. Musiałem szybko „naładować się” Dostojewskim. Pomysłu na przedstawienie nie miałem żadnego. Urodził się dopiero na drugi dzień po naszej premierze. Na razie improwizowaliśmy, zmierzając nie wiadomo dokąd. Chcieliśmy wystawić *Zbrodnię i karę*. O planach Wajdy nikt z nas nic nie wiedział.

Twarz w oknie na trzecim piętrze gmachu Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej przy ulicy Starowiślniej znikła, Marek Kalita zamknął okno. Szum ulicy ustał. Przed nami stał Andrzej Wajda: „Tak należy pracować z aktorem, żeby poczuł, jak to jest zabić... A panowie pokazaliście coś bardzo dziwnego. Ktoś mi kiedyś opowiadał, że jakiś reżyser wystawił *Żaby* Arystofanesa na basenie. To, co przygotowaliście, to były właśnie takie *Żaby*”. Studenci wszystkich lat reżyserii ryknęli śmiechem. Tydzień później przyszła do szkoły wiadomość ze Starego Teatru, że Pan Andrzej chce, abym został jego asystentem – tak właśnie zaczęła się moja bajka.

Dnia 5 maja 1984 roku odbyła się premiera przedstawienia naszej trójki pt. *Raskolnikow* w Teatrze Strefa w piwnicy przy ul. Kanoniczej 7, który swą nazwę zawdzięczał mojej fascynacji *Stalkerem* Andrieja Tarkowskiego. W „Tygodniku Powszechnym” Bronisław Mamon napisał: „Marek Gaj, dziś jeszcze student

III roku Wydziału Reżyserii Dramatu Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, jutro, być może, nowy Wajda lub Swinarski w teatrze polskim” (bajka trwała dalej). Odtąd na próbach w Starym było dwóch Wajdów: Andrzej Wajda i „nowy Wajda, być może”. Na *Raskolnikowie* pojawili się wkrótce: Jerzy Stuhr, Jurek Radziwiłowicz, Pan Andrzej, a ja poczułem się trochę lepiej niż „żaba na basenie”. I czułem się coraz lepiej, bo bajka trwała dalej – później odwiedzili nas Krystian Lupa, Kazimierz Kutz i Tadeusz Łomnicki, a studenci pierwszego roku teatrologii opisywali nasze przedstawienie w ramach swoich zajęć.

Obserwując Wajdę przy pracy, nabierało się przekonania, że warto być otwartym, bo każdy z nas niesie w sobie część talentu.

Próby zazwyczaj wyglądały mniej więcej tak: Pan Andrzej wołał do aktorów: „Dzieci, zagrajcie mi to pięknie”, a oni mu to pięknie grali. Zastanawiałem się potem, czy nie przejąć od niego tego zaklęcia. Było to jak: „Stoliczku, nakryj się!”. Potem zrozumiałem, że wiele zależy od tego, czy ten, kto to mówi, jest czarodziejem. Był otwarty na propozycje i jego ego przy tym nie cierpiało; jedne akceptował i po swojemu przerabiał, inne odrzucał, i co ważne – robił to natychmiast. Ten system pracy sprawiał, że cały zespół był nieustannie zaangażowany w poszukiwanie najlepszych rozwiązań, a praca stawała się prawdziwą przyjemnością. Uzyskiwał w ten sposób znacznie lepszy efekt niż reżyserzy, którzy mają wszystko wymyślone w najdrobniejszych szczegółach, a takich jest większość. Zawsze wiedział, czego chce; wymagało to solidnego przygotowania. Reagował instynk-

townie, jak kot, natychmiast, jeśli tylko aktorzy wykonali niewłaściwy ruch. Tego nie można się było od niego nauczyć. Nie sposób przecież wypracować talentu.

Obserwując Wajdę przy pracy, nabierało się przekonania, że warto być otwartym, bo każdy z nas niesie w sobie część talentu. Wajda dbał, by to, co robi, było zrozumiałe dla odbiorcy. Nie starał się autorom „łamać rąk i nóg”, wysuwając się na pierwszy plan. W czasie próby zazwyczaj siedział na krześle i „przysypiał”. Raz tylko zerwał się, by zagrać reżysera Andrzeja Wajdę „w akcji”. Było to wtedy, gdy na próbie pojawił się niemiecki reżyser

Mendelson, który przyjechał nakręcić o nim film – no cóż, musiał koledze po fachu trochę pomóc. Wtedy też prawdziwy popis dobrego humoru zaprezentował Jerzy Stuhr, który grał sędziego śledczego Porfirego Piotrowicza: „Ach te papierosiki, te papierosiki, szkodzą, a przestać nie mogę” – tu zapalił papierosa. Potem scenę powtarzano. Na końcu wsadził sobie do ust i zapalił drugiego papierosa. Pałac dwa naraż, grając coraz większe podniecenie, przy następnej powtórcie włożył do ust trzeciego i przypalił – wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Na próbach dałem się parę razy „wyssać”. Byłem tak emocjonalnie zaangażowany, że gdy wpadłem na pomysł, który został wykorzystany w przedstawieniu, trzeba było mnie przez dłuższą chwilę uspokajać. Poza tym dużo rozmawiałem z aktorami. Przed wakacjami Pan Andrzej polecił mi zapisać cały ruch sceniczny, czyli kto i co robi w każdej chwili



Próba do *Zbrodni i kary* w Starym Teatrze w Krakowie, od lewej: Jerzy Radziwiłowicz, Andrzej Wajda, Marek Gaj

przedstawienia. W przypadku Jerzego Stuhra okazało się to zupełnie niepotrzebne. Po wakacjach pamiętał każdą sytuację. Na tym właśnie polega profesjonalizm.

W czasie prób przyczyniłem się też parę razy „do wypuszczenia Julaska na wolność”. Śp. Juliusz Grabowski grał w przedstawieniu epizod, rolę Procha. Siedział w ciemnicy – aktorskiej poczekalni, w której wszystkie ściany były obite czarnym pluszem, a z sufitu wisiała jedna żarówka bez klosza – i czekał na wejście na scenę. Siedział tam jak w więzieniu i... miał tego dość. „Panie Mareczku, panie Mareczku, pan jest taki fajny chłopak, niech pan pójdzie i powie mu, żeby mnie wypuścił. Ja już tu dwie godziny siedzę. Przecież ja mam tylko zagwizdać i powiedzieć: »Przyprowadziłem aresztanta Mikołkę!«. Jedno zdanie i zagwizdać! A ja się potrzebuję wyspać! Mam daleko do domu! A on mnie tu męczy” – sepleniał Julasek. Gdy przedstawiłem sprawę: że tylko jedno zdanie, że daleko do domu, że może można wypuścić, Pan Andrzej powiedział: „Mówi pan jak z krzaka gorejącego, jak z krzaka gorejącego!”. Gdy za jakiś czas przechodziłem przez poczekalnię, znowu usłyszałem z ciemnego kąta: „Panie Mareczku, panie Mareczku, pan jest taki fajny chłopak. Niech pan pójdzie i powie mu, że ja już tu trzy godziny siedzę. Przecież ja jestem chory, zastrzyki biorę. Panie Mareczku. Za co ja tu siedzę?” – wtedy po raz drugi załatwiłem Julaskowi przedterminowe zwolnienie. Julasek zrozumiał, że ja mogę wszystko i postanowił mnie wyreżyserować

po raz trzeci. Po „fajnym chłopaku Mareczku” nastąpiło żądanie, „aby powiedzieć mu”, żeby już na premierze nie musiał wychodzić do ukłonów, bo przecież gra tylko do przerwy. Tego Julasek już u mnie nie załatwił. Premiera *Zbrodni i kary* w reżyserii Wajdy okazała się wielkim sukcesem i wkrótce zespół Starego Teatru wyjechał na tournée po Ameryce Południowej i Północnej.

Pan Andrzej był bohaterem kilku zabawnych historii. Kiedyś podobno, tak twierdził Jan Nowicki, „w ferworze walki” intuicyjnie skonstatował: „Pan gra jak blondyn, a powinien pan grać jak brunet”, innym razem zniecierpliwiony przynaglał aktorów: „Dzieci, grajcie szybciej, bo widzowie się znudzą i pójda do domu”. W 1988 roku Andrzej Wajda reżyserował w Starym *Dybuka* – sztukę żydowską o duchu zmarłego kochanka, który wchodzi w duszę ukochanej. Nie była to sztuka dla Wajdy, próby ciągnęły się. Przyszedłem popatrzeć, a Pan Andrzej pozwolił mi zostać. W pewnym momencie na scenie pojawił się nieżyjący już aktor Kaziu Borowiec, mój przyjaciel, człowiek o cudownym poczuciu humoru. Pan Andrzej spojrzał na scenę okiem malarza i powiedział: „Panie Kazimierzu, pan mi się jakoś plastycznie nie komponuje. Proszę zejść ze sceny”. Kaziu posłusznie zszedł i schował się za kulisy, a kiedy przyszła jego kolej, wychylił głowę i powiedział swoją kwestię. Na to Pan Andrzej: „Panie Kazimierzu, zrozumiałem! Pan jednak musi być na scenie!”. Po próbie Kaziu przyszedł pocieszyć swojego mistrza:

„Panie Andrzeju, niech się pan tak nie przejmuj. Lepszy dybuk w garści niż skrzypek na dachu” – Pan Andrzej uśmiechnął się. „Panie Kazimierzu, co dowcipne to inteligentne!”

W tamtych dniach, gdy byłem jego asystentem, z Panem Andrzejem spotykaliśmy się w teatrze i często mijaliśmy poza nim. Śp. ksiądz Jancarz, kapelan „Solidarności”, proboszcz kościoła w nowohuckich Mistrzejowicach, zaprosił Wajdę na spotkanie z robotnikami z huty, wtedy jeszcze im. Lenina. Pan Andrzej jako pierwszy wystąpił na drewnianym podeście, który wykonali pracownicy huty według mojego projektu. Innym razem, będąc u naszych wspólnych znajomych, oglądałem zdjęcia choinki – dzieła pani domu, wykonane przez Andrzeja Wajdę „właśnie wczoraj”. Potem przez wiele lat nie miałem z nim żadnego kontaktu. W lutym 2015 roku byliśmy z żoną w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha na wieczorze poświęconym poezji Stanisława Barańczaka. Miał tam być również Andrzej Wajda, ale przeziębził się i nie przyjechał. Napisał list do obecnych, który przeczytał Marek Kondrat, świetnie go naśladując. Ostatnie wieści o Panu Andrzeju usłyszałem od swej obecnej szefowej, pani Doroty Błasiak. Wybrała się z mężem do Krakowa, do nowego budynku Cricoteki, poświęconej Tadeuszowi Kantorowi. Spotkali tam siwego starszego pana z balkonikiem, który właśnie realizował film „o Tadeuszu, z którym był zaprzyjaźniony”. Wtedy dawno zapomniane sceny powróciły. ■